

Od autora: Zapraszam Was do lektury trzeciej i zarazem ostatniej miniatury z tego cyklu. Jak poprzednio, i tu pewne rzeczy miały kiedyś miejsce. I znów miłość, kolejne jej oblicze. Poplątane losy, duchowe przemiany, życia przewrotności. Gotowi? To zaczynamy :)

Moja żona była kobietą wysoką, piękną i posiadała niesamowitą inteligencję.

Wielokrotnie udowadniała mi małość, a ja, człowiek bez wykształcenia, w starciu z nią musiałem przyznawać, że daleko mi do tego poziomu, bo widać nie poszło mi w umysł, ale z tym można żyć, i ja, i ona jakoś dzieliliśmy stół i łóżko od dziesięciu lat, jednak nie mieliśmy dzieci, jako że zdaniem Helen zepsułoby to jej nienaganną figurę, a czas, który mogłaby spożytkować na prężne prowadzenie agencji modelek, musiałby poświęcić potomkowi.

Była dobra w łóżku, piekielnie dobra, tak, że w życiu nie przyszłoby mi szukać „boków”.

Każde nasze zbliżenie było jak trzęsienie ziemi, po którym ona zasypiała kamiennym snem, a ja wciąż zastanawiałem się, co mnie właśnie spotkało, i ta prawidłowość towarzyszyła naszemu pożyciu, czyniąc go nie do końca dla mnie zrozumiałym, jakbym brał udział w osobliwym pokazie, uczestnicząc w nim jako pacynka, a sznurki były w innych rękach.

- Nie wiem, dlaczego wyszłam za tak niskiego faceta – mówiła, chodząc po pokoju w szpilkach, i rzucając niezbyt oczywiste dla mnie spojrzenia. – Nadal wkładasz sobie te wkładki do butów?

- Tak – odpowiadałem setny raz na to samo pytanie. – Przecież już nie urosnę. Mam czterdzieści osiem lat i tylko metr siedemdziesiąt wzrostu. Ale kiedyś ci to pasowało.

- Lubię twojego członka. Jest duży i gruby. Dajesz mi przyjemność. Umiesz mnie solidnie zerznąć. Kobiety to kochają. A reszta, cóż, nie jesteś ideałem. Mało zarabiasz. Dopłacam do ciebie. To niemęskie. Źle się ubierasz. Używasz najtańszej pasty do zębów. Nie chodzisz w markowych ciuchach. Kiedy ostatnio kupiłeś mi prezent? Przyzwyczaiłam się do naszego, hm, małżeństwa. Co ty wiesz o nas, damach, przy których trzeba się nabiegać, by zgodziły się zjeść z tobą kolację?

- Nie muszę cię prosić o kolację. Nigdy nie musiałem.

- Bo mnie dobrze zaspokajasz. Przy tobie przestałam się masturbować. Jesteś dla mnie jak powietrze, którym oddycham, ale...

- Co „ale”?

- Powietrze jest niewidoczne, nie ma go, choć niby jest.

- Podaj mi szampana – powiedziała bełkotliwym głosem, dłubiąc palcem w ucho.

- Już, kochanie, proszę – odparłem jak zwykle uprzejmie i grzecznie.

- Ty ofermo! – krzyknęła, kiedy kieliszek nieopatrznie wymknął mi się z ręki i wylał na jej niewybaczalnie drogą, markową suknię. – Jak mogłeś! – i mówiąc to, uderzyła mnie w twarz.

Była już pijana, ale nie było tego po niej widać, umiała niezłe grać.

Goście spojrzeli na mnie z niesmakiem i powoli rozeszli się do innych pomieszczeń.

To był czwarty raz, kiedy podobna sytuacja miała miejsce: pierwszy, kiedy upadł mi w domu papieros na dywan, drugi, kiedy zapomniałem podlać kwiaty, trzeci, gdy eksplodowałem nie na brzuch, ale do środka. Zawsze wymierzała mi solidny policzek, patrząc nienawistnie, jakbym zabił jej ojca ruską harmonią w buri, listopadowy wieczór, gdy cały smród tego świata biesiaduje w najlepsze.

Nie wiem, bo wiedzieć tego nie mogę, kiedy mnie poznałaś, Lee.

Czy po dwóch dniach, czy po tygodniu, nie mnie o tym gadać.

Choć przywiązany do statku nie mogłem poruszyć się, ani wydusić z siebie słowa, widziałem twoją młodziutką twarz, wpatrzoną we mnie, jakbym był siódmym cudem świata.

Czemu przyszłaś, skąd przybywają takie kobiety?

Nagle ujrzałem, jak stoisz przy łóżku i potem było tak co dnia.

Byłem ofiarą wypadku, nieprzytomny, jednak słyszałem każde słowo lekarzy, którzy przychodzili i odchodzili, mówili wiele o niczym, śmiali się, głośno trzaskając drzwiami.

Nie obchodziło ich, czy będę mógł jeszcze chodzić, czy też poznam smak paraliżu.

Gadali o seksie, whisky, baletach i tępych dupach, które rzną, kiedy żony są w delegacji.

Małe, nędzne, wyperfumowane kundle, skurwiały odpad społeczeństwa.

- Ale pan ma zaganiacza, oj, ostrożnie, bo nie jestem jeszcze wilgotna – rzeziła bezrozumnie Helen, kiedy dyżurny lekarz brał ją ochoczo i bez żadnych zahamowań w takt piosenki Franka Sinatry „*Somethin’ stupid*”, lecącej właśnie w radio.

- A co z nim? – pytała żona.

- Kaplica. Wózek inwalidzki i tyle. Nie ma żadnych szans. Ale co to panią teraz obchodzi, nie? Życie toczy się dalej, jedni odpadają, taki los. Liczy się tylko to, co będzie.

- Jasne. Skoro to już przeszłość...

Potem wysłała jak zarzynane prosię, nie licząc się z tym, że cały oddział to słyszy.

Niebawem jeden z lekarzy mówił, że załatwiła mi miejsce w domu opieki nad takimi, co to Los wypiął się na nich, i tam mam spędzić resztę życia, ona umywa ręce, pozamiatane.

Przychodziłaś codziennie, trzymałaś moją rękę, czasem czytałaś gazety.

Kiedyś powiedziałaś, że masz na imię Lee i jesteś z Oklahomy.

Skończyłaś jakieś studia, ale nie przypominam sobie jakie, niezbyt dobrze było z moją pamięcią, jednakże coś widzę w odmętach wyobraźni, jak opowiadasz o zwierzętach – tak, może skończyłaś biologię lub byłaś dyplomowanym weterynarzem, kto wie?

Twój głos łnił w szpitalnej sali, i o czymkolwiek byś nie mówiła, miał dla mnie wartość magiczną, bo mogłem być tu sam, porzucony przez żonę, zapomniany przez „przyjaciół”.

Jednak byłaś ty.

I bardzo czekałem na chwilę, kiedy otworzą się drzwi i znów cię usłyszę.

- Czy on, na pewno, panie doktorze? – spytała pewnego dnia Helen.

- Jasne. Teraz możemy pojechać do Toskanii i rznąć się od rana do wieczora. Czy taka opcja pani pasuje?

- Hm... pewnie.

- No to jesteśmy umówieni. Niebawem mam urlop. Będzie gorąco, obiecuję.

- Nie wątpię – odparła Helen, nie bacząc na to, że obok leżą ja, jeszcze żywy człowiek, jej mąż, istota rozumna.

- A co z jego częścią majątku? Mielicieście przecież wspólnotę majątkową.

- Moi adwokaci zostawiają tego kalekę z ręką w nocniku.
- Rozsądnie, nie powiem, robi pani na mnie coraz większe wrażenie.

Pewnego dnia ktoś zauważył, że drżą mi palce, jakby nieznacznie, jednak wyczuwalnie.

Lewa dłoń, poruszona nieznany spazmem, przesunęła się po pościeli.

Później podobna rzecz miała miejsce ze stopą – najwyraźniej nieznacznie uniosła się.

Fakt ten nierozdzielnie łączył się z innym: otóż moja żona dość szybko i sprawnie, zapewne za sprawą sowitych łapówek rozwiodła się ze mną, i z tego, co usłyszałem z rozmowy między nią a lekarzem, absurdalnie mu się oświadczyła.

Nie wiem, czy to było widać, ale na mojej nieruchomej twarzy zagościł wówczas uśmiech.

Może kwaśny w całej swej szczerości grymas, bo zmarnowała mi dziesięć cennych lat, spędzonych na odartym z uczuć seksie, niczym innym, bo nie dane nam było poznać się bliżej – czasem czas jest barierą i daje się z siebie niewiele, nam nie dał prawie nic, ot, wymianę płynów, zwierzęce ocieranie się narządów, posmak duchowej nędzy.

Nie wiem, kiedy poznałem smak twoich ust, Lee.

To było chyba na Wielkanoc, tego dnia poczułem, jak pięknie pachnieć może życie.

Wtedy, rano, cicho weszłaś i po raz pierwszy od miesiący pocałowałaś mnie.

Tak lekko, tak niewinnie, tak niezobowiązująco.

Nikt mnie tak nigdy całował, zawsze była tylko prymitywna żądza, teraz jednak miało to coś z innego wymiaru, jakby dotknięcie Dobra, odcień czegoś, na co próżno szukać słów.

Dasz wiarę?

Po kilku dniach okazało się, że wracam do życia, znów pewnie stanę się sprawnym jak przedtem, bo i ręce, i nogi wykazywały coraz większą ruchliwość, a więc najwyraźniej była nadzieja, a ja, gdzieś w sercu czułem, że jeszcze dzień, jeszcze dwa i...

Otworzono okna i do szpitalnej sali wpłynął czule powiew chłodnej bryzy.

Jakże chciało mi się wtedy żyć, jakże pragnąłem, by stanąć na nogi i iść na plażę, poczuć pod stopami ciepły piasek, wejść do wody, ujrzeć błękit nieba, co dotąd był mi mrokiem.

Zapomnieć wszystkie te, skundlone lata, narodzić się na nowo, oczyścić się z „tamtego”, co nie miało już do mnie dostępu, jednak pamięć nadal zachowała to, co winna wyprzeć.

Lee, kiedyś przyniosłaś mi gazetę, jakiegoś kolorowego brukowca, a w nim artykuł, który dotyczył bezpośrednio nas wszystkich, mianowicie opisywał wypadek:

W Toskanii znany lekarz W. oraz jego narzeczona Helen M. zostali porwani przez nieznanych sprawców, którzy zażądali ogromnego okupu, i zagrozili, że jeśli w ciągu tygodnia pieniądze nie zostaną oddane, zaczną ćwiartować ofiary, najpierw uszy, potem nosy, potem języki.

Jak dotąd rodziny mężczyzny i kobiety otrzymały przesyłkę z odciętymi kciukami.

Później czytałaś mi o kolejnych aktach gwałtu w tej sprawie.

Ostatni z artykułów niejako wieszczył śmierć obojga porwanych.

Ofiar nigdy nie odnaleziono, całość zdała się snem szaleńca.

Choć pisano jeszcze o tym, nic konkretnego nie padło już z ust dziennikarzy.

Przestępców nie ujęto, pozostali na wolności, bezkarni, królowie śmierci, śmiecie życia.

Nie wiem do dziś, jak to się stało, że stanąłem wtedy na nogi.

Świadomość lubi płatać figle i mnie spletała pewnego dnia, kiedy niespodziewanie zauważyłem, że jestem w szpitalnej toalecie i myję ręce, spoglądając w lustro.

Potężna broda i wąsy początkowo sprawiły, że nie poznałem własnego oblicza.

Jednak po chwili, tam, w odbiciu zajaśniał uśmiech, szczery, naturalny, będący wyrazem powrotu z zaświatów, znikąd, gdzie dotąd dane mi było przebywać siłą złych przeznaczeń.

W spojrzeniu nie dostrzegłem niczego niepokojącego, wręcz przeciwnie, zdawało się jaśnieć i tym samym świadczyć, że coś się kończy, coś zaczyna, nie było we mnie lęku.

Nikogo z lekarzy, jakże szanownych i patrzących na mnie z góry, niewrażliwych na ludzkie cierpienie, bo najwyraźniej był to dla nich odległy abstrakt, nie obchodziło, że z dnia na dzień stałem się bezdomny - nie miałem dokąd pójść.

Nasz dom przejęła bezceremonialnie rodzina Helen i mnie kazała iść precz.

Nie udało się dojść do porozumienia: ilekroć dzwoniłem i taktownie próbowałem ukazać, w jak nędznej kondycji się obecnie znalazłem, tylekroć pędzono mnie jak burego psa.

To bardzo bolało: w końcu dałem spokój, nie można wiecznie być na kolanach.

Do końca odwlekałem moment wypisania ze szpitala, bo wiedziałem, że wyląduję w parku, na śmietniku lub na dworcu, wśród śmierzących, zapijaczonych meneli, bezrozumnie mamroczących o tym, że Pan kopnął ich w tyłek, a nie powinien, bo są solą tej ziemi.

Wtedy to powiedziałaś, Lee, pamiętam ten niezwykle, ciepły błysk w twoim oku.

Padał deszcz, ale we mnie świeciło słońce, kwitły kwiaty, ptaki śpiewały bossanovy.

Przecież nawet mnie nie znałaś – byłem zwykłym pacjentem, którego odwiedzałaś całymi miesiącami, czemu – ty to najlepiej wiedziałaś.

Ja nie mogłem o nic prosić, nie miałem prawa.

Powiedziałaś: „Jeszcze miesiąc lub dwa, a wyjdę. Tak, wyjdę. Ta terapia trwa bardzo długo i często nie udaje się. Jestem w trakcie, wierzę, że Bóg, że On... no, wiesz, że mnie nie zostawi. Skoro ja proszę Go każdego dnia, to mógłby być nieczuły na prośby? Czy taki bóg ma prawo istnieć? Mój Bóg jest obok, czuję Go, jest tu, gdzie ty stoisz”.

Dalaś mi wtedy klucze, tak zwyczajnie, tak naturalnie.

Poznałem adres, gdzie mam zamieszkać.

Już nie byłem bękartem ulicy, twoja niewielka kawalerka stała się moją przystanią.

Rano chodziłem do sklepiku po świeże bułki i żółty ser, obserwując dzikie kaczki, bawiące się w pobliskim stawie – było cudowne lato, a obok morze namiętnie szeptało, że marzenia są po to, by je spełniać, sny po to, by stawały się rzeczywistością, a lęki, by ich nie dostrzegać.

Pokochołem to małe, ciche osiedle, z którego było zaledwie pięć minut spacerem na plażę, gdzie często udawałem się, by wprost od rybaków kupować świeże ryby i pogadać o życiu.

Wkrótce poznałem sąsiadów, zyskałem znajomych, kolegów, rozmówców na każdy temat.

Poczułem się, jakbym od zawsze był częścią ich świata, a oni zdawali się przytakiwać.

Próżno by szukać lepszych czasów – w mojej pamięci nie znalazłem niczego podobnego.

Tylko nie miałem ciebie, maleńka, tylko ciebie było mi brak.

Codziennie odwiedzałem cię w szpitalu, codziennie gładziłem twoją twarz, spijałem pocałunki, pragnąłem, by ta chwila trwała i trwała, bym nie musiał się z tobą żegnać.

Nawet nie wiesz, ile mnie to kosztowało, tego nie oddadzą żadne słowa: to było moje małe umieranie,

kiedy zostawałaś tam, na cichej sali, a ja zamykałem drzwi i znikalem.
Byłaś bardzo blada, wręcz przeźroczysta, ale nie mogłem ci o tym powiedzieć.
Niewiele mówiłem, bo sam nie rozumiałem do końca własnego powrotu do życia.
Każda z tych cudownych chwil, jakie wtedy spędziliśmy, wracała ze mną do domu, i potem w nocnej ciszy, gdy już zasypiałem, cały czas miałem przed oczami ciebie, oczy, usta, nos, uśmiech, czuły oddech, w poduszkę szeptałem o nas, o tym, co być mogło, gdyby...

Pewnego dnia młody lekarz powiedział mi tak, jak mówi się o zeszłorocznym śniegu:

- Ona została wielokrotnie zgwałcona. W jakimś klubie, wiele lat temu. Ci goście nie żartowali. Wie pan, z czym to się wiąże? Powiedzieć? Ten nowotwór się powoli cofa, ale... Mówić dalej?
- Nie – zareagowałem instynktownie.
- Ona już nigdy...
- Dość.
- Skoro pan nie chce wiedzieć, to nic tu po mnie.
- Nie chcę – zakończywszy rozmowę, wyszedłem z gabinetu.

Potem opuściłaś szpital i od tej pory jesteśmy razem, nierozłączni jak dzień i noc.

Nigdy nie wiedziałem, co to miłość, ale tobie, tylko tobie mógłbym...

Ale po co, to się przecież czuje bez słów.

Bo czy są słowa, które oddają w pełni to, co w człowieku?

Nie znam takich, nawet nie będę ich szukał.

Tamtego wieczora, pierwszego w domu, długo patrzyliśmy na siebie, jakby chwila ta miała stać się naszą małą fotografią na wieczność, niezapomnianym slajdem, na którym zapiszemy kochanie, słowa ledwie szeptane, by nie uronić tego, co „pomiędzy”, by dać jak najwięcej.

Całowałem twoje szczupłe dłonie, palec po palcu, szyję, usta, policzki, gładziłem włosy.
Jak najdroższe perfumy świata, w rozkosznym zapomnieniu wdychałem twój zapach.
Czułem się jak król, który posiadał wszystko, a nawet więcej, mimo że o nic nie prosił.
Tuliłaś się do mnie, a ja byłem jedynym obrońcą, twoim światem, planem na życie.
Już wiedzieliśmy, że tak miało być, choć dotąd nasze drogi szły w innych kierunkach.
Wczoraj stawało się z wolna jutrem, a jutro było już tylko nami.
Tobą i mną, Lee, czy trzeba było czegoś więcej?

Wsunęłaś mi rękę do spodni i znów stałem się mężczyzną.

Patrzyłem ci w oczy, jednak niczego nie chciałem.

To, że jesteś, wystarczało mi.

- Ja nie mogę... - szeptałaś. – Wiesz, ja kiedyś... Był taki dzień...
- Nieważne – odpowiadałem.
- Ja mam... - dodawałaś.
- To nie ma znaczenia – mówiłem.
- Jestem...
- Nie mów nic, maleńka, nie mów nic.

15 sierpnia 2015

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 17.09.2015 16:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.